

Tomasz
Białkowski

Teoria ruchów Vorbla

JanKa

Teoria ruchów Vorbla

Tomasz Białkowski

Teoria ruchów Vorbla

JanKa
2011

© Copyright by Tomasz Białkowski, 2011
© Copyright by wydawnictwo JanKa, 2011

Projekt okładki
Anna M. Koźbiel

Redakcja
Janina Rogalska-Koźbiel

Korekta
Jan Wiśniewski

Łamanie
MJK

ISBN 978-83-62247-11-0
Wydanie I

Wydawca
JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
www.jankawydawnictwo.pl

Każdy sen jest znakiem śmierci, nawet gdy śni ci się błogość ukwieconej łąki, słońce na przejrzystym niebie. Śniąc się sam sobie, śniesz się zawsze śmierci swojej. To do jej niepodzielnego świata należy każdy twój sen. Ona tylko pozwala na chwilkę bezwolności w nim. A pycha każe mówić, śniło mi się. Powinno się mówić, śniło się śmierci mojej.

Wiesław Myśliwski

Autor pragnie podziękować Markowi Parulskiemu za długą i inspirującą opowieść o ruchach Browna.

To takie proste.

Serce wytwarza impulsy elektryczne odbierane przez elektrokardiograf. Vorbl leżał na obciążonej grubą folią twardej, szerokiej kozetce nieokreślonego koloru. Folia była zimna i nieprzyjemnie przylegała do nagich wilgotnych pleców. W niewielkim pomieszczeniu znajdowało się jedno okno, na dodatek zasłonięte zieloną roletą. W pokoju czuć było paskudny medyczny zaduch połączony z tytoniowym dymem. Vorbl leżał z nogami skierowanymi na drzwi. Po prawej stronie miał wytartą, kiedyś zapewne białą, ścianę. Po stronie przeciwnej kilkumetrową plamę podłogi wyłożonej błękitną terakotą, po której pływała niewysoka postać rudej laborantki w białym niedopiętym fartuchu. Kątem oka widział fragmenty jej mocnych, gładkich ud owiniętych brązowymi rajstopami, krótką czarną spódniczkę, a kiedy stanęła nad nim, by mu podwinąć nogawki welwetowych spodni, zobaczył jej duże, kształtne piersi i koronkowy kremowy stanik. Przez sekundę poczuł, jak ocierają się o jego nagi, szeroki tors, teraz pokryty płątaniną kolorowych kabelków. Leżał na wznak, starał się być odprężony i zrelaksowany. Wiedział, że napięcie lub drżenie ciała zakłóca zapis EKG, jego mięśnie szkieletowe też wytwarzają impulsy elektryczne. Ruda laborantka zmoczyła mu skórę zimną gąbką. Vorbl, wbrew zaleceniom, odruchowo wyprężył pierś. Potem laborantka gumowymi paskami umocowała elektrody o metalowych zakończeniach na jego rękach i klatce piersiowej. Ruchy miała pewne

i stanowcze. Bardzo się Vorblowi podobała. Mogła być w wieku jego synowej.

– Ma pan za długie buty, proszę je zdjąć. – Jej głos był niski, ciepły. Uśmiechała się uroczo. Pachniała cytrynową trawą.

Vorbl spróbował unieść się na łokciach, ale po chwili opadł bezwładnie na folię, którą w międzyczasie pokryła sporych rozmiarów kałuża potu. Spojrzał na kobietę z zawstyżeniem. Ona już nie uśmiechała się do niego i, jeden po drugim, rozsznurowała, a potem zsunęła mu ciężkie czarne trzewiki. Ustawiła je u wezłowania. Tak przynajmniej czuł, patrząc w falujący sufit, podzielony na trzy równe części długimi jaskrawymi jarzeniówkami. Ta najbliższej niego nieregularnie migiała. A kiedy pielęgniarka zażądała, aby zdjął z nadgarstka srebrnego tissota, żarówka rozbłysła, na sekundę zalewając pomieszczenie paskudnym blaskiem, by zasyczyć i zgasać. Część sufitu pokrył mrok. Potem laborantka doczepiła elektrody do łydek nad skarpetkami. Wcześniej miejsca pod elektrodami pokryła zimnym żelem, żeby zmniejszyć opór elektryczny pomiędzy jego ciałem a elektrodą. Vorbl policzył, że ma na sobie dwanaście takich elektrod. Trzy odprowadzenia kończynowe dwubiegunowe, takie same trzy odprowadzenia kończynowe jednobiegunowe i sześć odprowadzeń przedsercowych. Wiedział, że każde z tych odprowadzeń obserwowało pewien obszar jego serca, ścianę dolną i ścianę przednią. Umożliwiało lokalizację niedokrwienia czy zawału w zapisie, który wolno wyleje się zaraz z metalowej puszki na podłogę w postaci papierowego wydruku. To takie proste, powtórzył w myślach.

– Okulary może pan zatrzymać – powiedziała ponętna laborantka, odchodząc w kierunku aparatu. – Obrączkę też. A jeżeli ma pan sztuczne zęby, to niech pan ich nie wyjmuje. – Uruchomiła urządzenie.

Vorbl leżał półnagi na znowu zimnej kozetce, przez jego ciało przetaczały się wiązki badawczego prądu. Z wyciągniętymi wzdłuż tułowia rękoma, zaciśniętymi w pięści dłońmi, gapił się na leżące obok na stoliku błyszczącego tissota. W cyferblacie eleganckiego zegarka widział swoje zniekształcone, oburzone odbicie.

Myślał o rudej laborantce, jej białych, równych zębach, którymi przed chwilą zerwała taśmę klejącą z nowej rolki papieru na wykresy. O gówniarze, która go przed chwilą upokorzyła. Zgrzytał pożółkłymi, polepionymi plombami, krzywymi zębami i zastanawiał się, gdzie dziewczyna teraz stoi. A kiedy podniósł lekko głowę, ujrzał swoje stopy w brązowych skarpetkach. W jednej z nich, tej prawej, dostrzegł wielką dziurę, z której wystawał gruby, brudny palec. Vorbl pomyślał, że jest teraz sprofanowanymi zwłokami w przeszklonej trumnie na dermowym katafalku. Zerwał się z pryczy, nie bez bólu wyszarpnął z ciała metalowe pijawki elektrod. Kopnął precz na boki kable. Potem pochwycił długą wstęgę wykresu i boszo wypadł na korytarz. Za nim wybiegła śliczna laborantka. Słyszał jej upominające okrzyki, kątem oka widział, jak macha za nim jego koszulą i butami. Gnał środkiem korytarza, roztrącając na boki mijanych ludzi. Ponętna laborantka biegła za nim, cały czas krzycząc, dogoniła go przy schodach. Zawstydzony, bez słowa przeprosin, odebrał od niej garderobę i zegarek. Ze spuszczoną głową ruszył przed siebie. Ubrał się w kącie poczekalni. Wyrównał oddech i z taśmą wykresu zwisającą z kieszeni błąkał się po piętrach budynku. Stracił orientację. Coraz bardziej zmęczony, poprosił o pomoc człowieka na wózku inwalidzkim. Szukał laboratorium. Usłyszał, że powinien zejść na parter. Tak też uczynił. W recepcji skierowano go do pokoju numer dziesięć, gdzie miał oddać krew. Dzień wcześniej poinformowano go, że nie powinien nic jeść. Zabroniono mu nawet picia ulubionej porannej kawy. Przyszedł zatem na badania głodny i rozdrażniony. Bardziej nawet rozdrażniony niż głodny.

W pokoju numer dziesięć sucha, żyłasta pielęgniarka o twarzy konia zarżała, dając mu znak, aby usiadł na chybotliwym, obrotowym krześle. Wypluwając pojedyncze sylaby i strzygąc wielkimi uszami, wypytała go o skłonność do omdleń, o aktualnie przyjmowane leki, a na koniec o to, czy przy pobraniach krwi mocno krwawi. Vorbl odpowiedział zgodnie z prawdą, po kolei, na każde z zadanych pytań. Nie mdlał nigdy, z leków bierze tylko aspirynę przy przeziębieniach. Ogólnie jest zdrow jak przysłowiowa ryba.

Sam nie wie, dlaczego tu trafił. Po prostu chce mu się ciągle spać, a przecież nie może sobie na to pozwolić. A co do krwi, to, oczywiście, nie ma mowy o obfitym krwawieniu. Pielęgniarka wysłuchała go, strzygąc ze zrozumieniem włochatymi uszami, a potem podsunęła mu pod łokieć poduszkę. Mocno chwyciła za lewą rękę i wcisnęła ją w szorstki materiał. Dłoń zwróciła ku górze. Potem powyżej łokcia założyła opaskę uciskową, która była mocno zużyta, przepocona i zwyczajnie cuchnęła. Teraz kobieta-koń nakazała mu zacisnąć pięść. Kiedy to uczynił, żyła zaczęła wypełniać się krwią. Miejsce wkłucia pielęgniara odkaziła roztworem alkoholu etylowego. Ze stolika obok wzięła w dwa palce igłę i prawą ręką unieruchomiła żyłę przez naciągnięcie przezroczystej skóry. Teraz zdecydowanym ruchem wbiła igłę w pulsującą żyłę i powoli zwalniała ucisk opaski. Vorbl poczuł ból. Gorąca ciemna krew przez powolne ruchy tłoka strzykawkki zasysana była do cylindrycznego, przezroczystego pojemnika. Kiedy pojemnik był już w całości wypełniony życiodajnym płynem, kobieta-koń ucisnęła miejsce wkłucia wacikiem i szybkim ruchem usunęła igłę z żyły. Zabrała też cuchnącą opaskę. Nakazała Vorblowi zgiąć rękę w stawie łokciowym i unieść ją nieco do góry. Wykonał polecenie dokładnie. Siedział spokojnie na krześle, obserwował pracę pielęgniarki. Musiał przyznać, że znała się na swojej wampirzej profesji. Ale po chwili zaczęło dziać się coś niedobrego. Z niepokojem spojrział na przedramię. Gęsta, oleista krew zaczęła wypływać spod tamponu. Zakrył ją drugą dłonią. Na nic. Krew przesączała się między roztrzęzionymi palcami. Sięgnął do kieszeni, szukał chusteczek higienicznych. Zamiast nich wydobyl taśmę z wykresem kardiologicznym. Niezdarnie próbował owinąć papierem źródło wycieku, krew przesiąkała przez cienką bibułę, wypełniała szczyty i zapaście wykresu. Szerokim strumieniem wolno dotarła do łokcia, zatrzymała się na chwilę niezdecydowana, a potem ciurkiem zaczęła kapać na podłogę, robiąc sporych rozmiarów kałużę. Powietrze wokół Vorbla zaczęło gęstnieć, na języku poczuł słodycz, ręka zamieniała się w ciężki, sztywny badyl. Kobieta-koń patrzyła na niego uważnie, chrapy jej pulsowały, a uszy rosły w niebywa-

łym tempie. Vorbl wolno wstał, zatoczył się i na miękkich nogach ruszył w jej kierunku. Potem jakaś nienaturalna siła zaczęła go cofać. Jakby czyjaś ręka pochwyciła go za kark i ciągnęła ku ziemi. Zachwiał się i runął na terakotę. Przy tym machał rękami na boki i, padając, stracił ze stołu część narzędzi. Vorbl stracił wzrok, czuł, jak jest wsysany do środka czarnej dziury, w ciemność.

Obudził się na zwyczajowo zimnej kozetce. Obok niego stały dwie kobiety, w których po chwili rozpoznał seksowną laborantkę i wampiryczną klacz, szczerzącą zęby, równie wielkie jak uszy.

– Jak się pan czuje? Czy już lepiej? – Klacz podała mu szklanekę z wodą.

Odebrał naczynie drżącą dłonią i łapczywie opróżnił jego zawartość. Spojrzał na buty kryjące dziurawe skarpety. To go uspokoiło.

– Trzeba będzie powtórzyć badania, wszystko pan poniszczył – dodała ta druga. – Najlepiej za dwa, trzy dni.

Vorbl jakby nie słyszał, co do niego mówią, ledwo do niego docierał własny głos

– Jestem bardzo zmęczony. Chce mi się spać – wycharczał przez zaparowane szkło. – Ja chcę do domu. – Tego ranka zemdlał po raz drugi.

*

Kiedy się obudził w pozycji horyzontalnej, za oknem panował mrok. Niewiele więcej było widać wewnątrz pomieszczenia, w którym się znajdował. Wzrok jednak powoli przystosowywał się do ciemności. Vorbl uniósł głowę, powoli jeden po drugim rozpoznawał przedmioty. Kanapę i czarne skórzane fotele, komodę przy szerokich, szklanych drzwiach na taras. Usiadł na kanapie. Wyciągnął bolące ramię do góry, próbował je rozruszać. Czucie w rękę wracało. Teraz ukląkł na włochatym dywanie i wolno sunąc wzdłuż kanapy, wymacał kabel, który delikatnie pochwycił w obie dłonie. Po chwili natrafił na zgrubienie przełącznika prądu. Przesunął go do siebie, wypuścił z rąk, bo pokój zalało ciepłe, ale mimo wszystko nieprzyjemne, światło. Zasłonił oczy. Kiedy je

delikatnie otworzył ponownie, rozpoznał znajome ściany i drogie meble Dall'Agnese – zeszlóroczny kaprys żony. Wstał z dywanu i ruszył do kuchni. Z lodówki wyjął karton soku porzeczkowego i łąpczywie, bez pośrednictwa szklanki, pił zimny napój. Potem usiadł na wymyślnym krześle z kompletu Arrital Cucine – kolejnej ekstrawagancji małżonki. Vorbl próbował przypomnieć sobie przebieg porannych wydarzeń.

*

Już od rana coś zapowiadało katastrofę. Vorbl nie mógł znaleźć lewego buta. Przeszukał pomieszczenie po pomieszczeniu cały segment piętrowego domu. Z marnym skutkiem. Zajrzał nawet na poddasze oraz do garażu. Wrócił na parter, do kuchni i, sam zaskoczony swoją dociekliwością, wsadził nos do lodówki. Oczywiście, mógł założyć inne obuwie, ale im dłużej szukał brązowego trzewika o numerze czterdzieści cztery, tym mocniej trwał w postanowieniu, że w innych butach z domu nie wyjdzie. Wreszcie, zrezygnowany i ponaglany terminem wizyty, sięgnął po wysokie turystyczne buciory, w których wędrował po górskich szlakach. Dobrych pięć minut mocował się ze sznurowadłami, by już przy drzwiach wyjściowych, klnąc i pomstując, zdjąć buty ponownie. Vorbl w roztargnieniu wpieryw założył but prawy, a potem lewy. Nigdy tego nie robił! To była jego żelazna zasada, którą nabył w dzieciństwie. Wpieryw but lewy, a dopiero potem prawy. Dlatego stracił kolejne minuty na odtworzenie właściwej kolejności zdarzeń rytuału. Prawdopodobnie to wtedy bezmyślnie założył stare, dziurawe skarpety, które siedziały wewnątrz trzewików, a dwie godziny później ośmieszyły go w oczach laborantki. Dopiero teraz Vorbl mógł wyprowadzić na spacer włochatego olbrzymia. Kuba, berneński pies pasterski, spryskał moczem kilka krzaków nieodległego parku Akcji „Burza”. Wypróżnił się na oszroniony trawnik, czego jego pan zdawał się nie dostrzegać. Podobnie było z produkowanymi każdego poranka solidnymi kopcami, których Vorbl również nie widział. Czasami, dla urozmaicenia, szli nad Stawy Łazien-

kowskie, gdzie Vorbl sycił wzrok widokiem spokojnej tafli wody, a pies walił niezbyt wymyślne stożki. Robili tak od dziesięciu lat, od kiedy Vorbl przyniósł go w kartonowym pudełku do domu Pod Kopcem na Dolnym Mokotowie. Kupił go wprost z ulicy od zaszuszonego narkomana, który od trzech dni siedział ze zwierzęciem na kolanach pod jego instytutem. Vorbl obserwował ich uważnie, wchodząc na zajęcia do budynku Wydziału Fizyki. Od chwili kiedy zobaczył psa, postanowił go mieć. W dzieciństwie marzył o takim kudłaczku. Zawsze coś stało na przeszkodzie. Owszem, mieli w obejściu małego kundelka, ale to przecież co innego. Matka nie lubiła zwierząt, bała się ich. Z ojcem było odwrotnie – psy ganiały za nim stadami, łąsiły się do niego. Tu Vorbl uśmiechnął się gorzko. Jego rodzice, jego dzieciństwo...

*

Matka i ojciec. Poznali się na wsi. Każdego ranka ojciec Vorbla, Andrzej, w towarzystwie stada bezpańskich psów szedł nad Paniówkę, wąską rzeczkę płynącą opodal wioski. Psy krążyły wokół niego, ocierały się o kolana, radośnie kręciły ogonami, piszczały i szczekały. Wreszcie docierali do celu. Psy kładły się w cieniu drzew, a ojciec Vorbla ściągał koszulę i spodnie. Wystawiał do słońca miedziane plecy, a co jakiś czas zrywał się z kolorowego ręcznika i z krzykiem pędził do wody. Wpadał na niewielką kładkę i z rękami wyciągniętymi przed siebie szybował dobrych kilka metrów, by zniknąć w nurcie rzeki. Andrzej Vorbl był mistrzem w tej akrobacji. Każdy z elementów spektaklu miał doskonale wyćwiczony. Zarówno dziki krzyk podczas sprintu, jak i lot w odměty. Wzbudzał podziw i szacunek nastoletnich kąpielowiczów, próbujących naśladować go, zwykle z marnym skutkiem, był idolem nastolatek, które wodziły za nim rozpalonymi oczyma. Przerazał niemowlęta śpiące na kocach. A starszym ludziom podnosił ciśnienie krwi. Był szczerze znieawidzony przez okolicznych wędkarzy. Miał dwadzieścia lat, szeroki tors, zgrabne pośladki i ujmujący uśmiech. Nie wiele jak na kandydata na męża. Ale los spaceruje swoimi drogami.